

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**LOUIS GALLET**

**KAPITAN CZART  
PRZYGODY  
CYRANA DE BERGERAC**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## I

O późnym wieczorem jednego z dni październikowych tysiąc sześćset pięćdziesiątego pierwszego roku z bramy zamku Fougerolles, w prowincji Perigord, wymknął się jeździec i pocwałował drogą biegnącą wzdłuż rzeki Dordogne.

Ostry wiatr zaciął go jak biczem po twarzy, podróżny wszakże nic sobie z tego nie czynił. Wytrzymał odważnie natarcia burzy i krzepko a prosto usadowiony w siodle przedzierał się naprzód, jak błędny rycerz unieruchomiony w swej zbroi.

Niejeden, widząc go o tej porze i w taką niepogodę na drodze prawie nie uczęszczanej, pomyślałby, że to zbieg jakiś i hultaj, na cudzy worek dybiący.

W rzeczywistości jednak człowiek ten ani ukrywał się przed nikim, ani też na niczyją krzywdę nie czyhał.

Po godzinie drogi jeździec skręcił z gościńca na dość wąską ścieżkę pomiędzy dwoma wzgórzami. Po obu jej stronach rosły gęste krzaki jałowca i tarniny, nie brakło też drzew, do połowy z liści огоłoconych. Jeździec zwolnił biegu i zacinając batem gałęzie zwieszające mu się nad głową, głosem czystym, choć niemilosiernie fałszywym, zaśpiewał następującą piosenkę, która wówczas była jeszcze wielką nowością.

Opłakana to jest dola  
nie mieć zdrowia i pieniędzy,  
lecz gdy biedak zdrow i wesół,  
jest bogaczem, mimo nędzy...  
Za Luwr mi poddasze stanie,  
z płaszczu mam strój i posłanie.  
Nie znam, gardząc bogactw marą,  
co to przed złodziejem trwoga;  
Pułap jest moją kotarą,  
a materacem – podłoga!

Wydobywszy się z ciasnego przesmyku, śpiewak znalazł się tuż na brzegu rzeki, przy drodze holowniczej, która zawieźć go miała prosto do przewozu, naprzeciw wioski Saint-Sernin.

Spoza szanca wzgórz wysunął się właśnie księżyc.

Przy niepewnym jego świetle podróżny dostrzegł o kilka kroków przed sobą stojącego nieruchomo człowieka.

W rękach tego człowieka błysnęła lufa muszkietu.

W chwili gdy jeździec, zdający się lekceważyć to spotkanie, znalazł się o dwa kroki od nieznajomego, tamten zagroził mu drogę.

– Litości, wspaniały szlachcicu! – zawołał głosem żebrzącym.

– Hola! – odparł jeździec, przedrwiwając. – Zdaje mi się, kochanku, że coś za ciężko obładowałeś się jak na żebraka!

I końcem bata uderzył go po muszkiecie.

– Drogi nie są teraz bezpieczne, jasny panie! – zauważył tamten tłumacząc się.

– Ba, toć chyba nie masz nic do stracenia!

– Przeciwnie!

Po tym niespodziewanym słowie, które jakby nieumyślnie z ust mu wybiegło, ozwała się ponownie prośba, ale tym razem utrzymana w tonie szyderskiej pogróżki.

– Litości, wspaniały szlachcicu!

– Do króćset! Sądzić by można, że żądasz raczej kieski albo życia!

– Jeśli waćpan wolisz, niech i tak będzie!

I muszkiet, szybkim ruchem uniesiony, znalazł się przy piersiach podróżnego.

– Ha, ha, argumenty twoje są bardzo przekonujące! – zaśmiał się ten ostatni. – Ale poczekaj cokolwiek.

W tej chwili odtrącił broń, zeskoczył z siodła i chwycił opryszka za gardło.

Trzymał go tak czas pewien, a gdy spostrzegł, że w tym potężnym uścisku dusić się zaczyna, i że z bezwładnej ręki muszkiet mu już wypadł, puścił gardło, a ujął ręce i z całej siły jął chłostać go batem po plecach.

Nigdy jeszcze najleniwszy i najknaźbniejszy chłopiec z bakalarni nie otrzymał tak energicznego upomnienia.

Zbój osunął się na kolana i błagać zaczął zmiłowania.

– Mógłbym ci łeb roztrzaskać, gdybym był w pasji, lub też zapędzić cię do Fougerolles, aby cię tam obwieszono – mówił szlachcic. – Dziękuj diabłu, swemu orędownikowi, że cię tym razem puszcza na wolność. Jednak radzę ci, błażnie, przypatrz mi się dobrze, abyś brał nogi za pas, ile razy spotkasz mnie i poznasz. Inaczej za nic nie ręczę!

Opryszek, nie wstając z kolan, podniósł na swego zwycięzcę czarne, przenikliwe oczy i płomień nienawiści zabłysnął w jego źrenicach, gdy przy bladym świetle księżyca rozpoznał szydzącą twarz podróżnego. Podróżny nie zaniedbał ze swej strony zapisać sobie w pamięci ohydnych rysów hultaja, przez które przezierała w tej chwili tłumiona wściekłość w połączeniu z przemagającym ją bólem.

– Poznam cię, jasny panie – mruknął wreszcie dziwnym głosem. – Pozwól mi teraz odejść. Podczas gdy fałszywy żebrak dzwigał się z ziemi, rozcierając obite boki, podróżny podniósł upuszczony muszkiet, ujął go za koniec lufy i wykręciwszy nim kilka młyńców w powietrzu, cisnął z rozmachem w rzekę.

Zrobiwszy to dosiadł konia i odjechał galopem, pozostawiając napastnika ogłupionego tą osobliwą przygodą. Stanąwszy u przewozu, huknął na przewoźników i w dziesięć minut później cwałował już wzdłuż lewego brzegu rzeki.

Uniósł się w strzemionach i wyteżył wzrok ku Saint-Sernin.

W najwyższym z domów siola płonęło światło, z komina zaś buchał dym rudawy, dym kuchenny, którego widok przywołał na usta jeźdźca uśmiech zadowolenia.

Był to dom Jakuba Szablistego. Człowiek jednak, co nosił to imię wojownicze, rasę żołnierską ujawniające, zerwał z przodków swych rzemiosłem. Szablisty zajmował pokojowe stanowisko proboszcza.

Atletyczne członki duchownego wykreślały się energicznie pod ciasną sutanną, twarz jego mięsistą, czerstwą, otaczał wieniec czarnego, kędzierzawego zarostu, miał on minę pewną siebie, głos donośny, siłę i zwinność lwa, mimo to wszystko było jednak widoczne, że jest łagodny i prosty jak dziecko.

Podczas gdy podróżny przewoził się na promie, proboszcz wyszedłszy do kuchni napędzał do pośpiechu swą gospodynię uwijającą się przy garnkach i rondlach.

– Joanno, już ósma! – powtarzał niecierpliwie. – Joanno, nie zdążysz ze szczupakiem! Sawiniusz za kwadrans już tu być powinien.

– Słyszałam już to, słyszałam... Nie ma o co gwałtować... – mamrotała gniewnie gospodyni. – Szlachcic może trochę poczekać... dziura w niebie przez to się nie zrobi... A w końcu – dodała głośniejszym głosem, z ruchem zniecierpliwienia – oświadczam jegomości, że czy tak, czy owak, nie podam na stół, dopóki wszystko nie będzie zrobione jak się patrzy...

Ironiczny ukłon zakończył tę przemowę, po której wysłuchaniu ksiądz Jakub, przeświadczony o swej niższości, opuścił głowę na piersi i drobnym kroczkiem podreptał do jadalni.

Stół był nakryty. Budzący uszanowanie rząd butelek wychylał omszone główki z kredensu. Aby baterii tej dosięgnąć, nie trzeba było wstawać z miejsca, wystarczało rękę za siebie wyciągnąć. Brakło jedynie gościa.

Zegar na wieży wiejskiego kościółka wybił kwadrans na dziewiątą. Jakby w odpowiedzi zadźwięczał szarpnięty silnie dzwonek u drzwi wejściowych.

– To on! – wykrzyknął proboszcz.

Pobiegł do drzwi, otworzył je na całą szerokość i rzucił się w objęcia przybyłego.

– Na mękę i śmierć Zbawiciela! – zawołał ten ostatni, pozwalając ocałowywać sobie policzki – twoja wieczerza, mój bracie, jest pyszną rzeczą na dzisiejszą zawieruchę! Z kuchni twej zalatuje zapaszek trufli i dziczyzny, który sprawia prawdziwą oskomę i daje przeczcucie prawdziwie rajskich rozkoszy.

– Siadajmy do stołu, kochany Sawiniuszu! – odrzekł lakonicznie ksiądz, odgadując stan tego żołądka, podnieconego długą jazdą.

Zdjął z ramion gościa płaszcz, rozwiesił go przed ogniem płonącym wesoło na kominku i grzmiącym głosem oznajmił Joannie, że tylko na nią oczekują.

Szlachcic zasiadł wówczas naprzeciw proboszcza i obaj biesiadnicy zabrali się żwawo do należytego uczczenia przygotowanych przez gospodynię potraw, nie szczędząc sobie wzajem przyjacielskich wynurzeń. Sawiniusz i Jakub byli braćmi mlecznymi, kochali się jednak jak bracia rodzeni.

– Posłuchaj – odezwał się nagle przybysz, zatapiając nóż w pasztecie aż czarnym od trufli perigordzkich. – Nie przybyłem do ciebie wyłącznie na wieczerzę. Mam pomówić z tobą o sprawach wielkiej wagi.

– Jestem do usług twych – odrzekł ksiądz. – Odczytawszy list twój zaraz domyśliłem się, że musiało zajść coś ważnego. Mów zatem. – Odłóżmy to do wetów, a teraz, jeśliś łaskaw, przysuń mi tego szczupaka, który ma pozór tak czcigodny.

– Jest to, mój kochany Sawiniuszu, triumf mojej Joanny. Nieczęsto jada się taką rybę.

– Do licha! Czyżby należała ona do istot bajecznych?

– Bynajmniej. Jest to szczupak jednooki z jeziora Fonta, którego proboszcz tamtejszy przysłał mi na uczczenie kochanego gościa.

– Cudownie! Jednooki czy dwuoki, smakuje przewybornie, a te grzyby z białym winem czynią go prawdziwie boską potrawą!

Uczta zakończyła się wesoło. Ale za ledwie Joanna zdjęła obrus i postawiła na stole butelkę likieru z Armagnac oraz przyniosła na błyszczącej metalowej tacy dwa małe kieliszki, Sawiniusz od razu spoważniał.

Przełknął kilka kropli starego likieru, po czym, wspierając się o stół łokciami i zatapiając przenikliwe spojrzenie w oczach przyjaciela, rzekł:

– Czy pozwolisz, Jakubie, abyśmy pomówili teraz o sprawach poważnych?

## II

Proboszcz skinął głową na znak przyzwolenia, a twarz jego przybrała ten sam wyraz uroczysty, co twarz gościa.

– Przysiągłeś mi kiedyś, Jakubie – zaczął ten ostatni – że będziesz szczęśliwy, oddając w potrzebie życie swe na moje usługi.

– Rozporządzaj nim, przyjacielu. Każdej chwili gotów jestem dotrzymać owej przysięgi.

Ręka szlachcica wyciągnęła się w stronę księdza, który ścisnął ją tak krzepko, że Sawiniusz nie mógł powstrzymać się od uwagi:

– Do licha! Oto dłoń, która nie puści łatwo tego, czego strzec się podjęła!

I ruchem wykwinnym otrząsnął bolące palce.

– Masz zatem do powierzenia jakiś depozyt? – zapytał ksiądz Szablisty.

– Depozyt drogocenny, którego w potrzebie wypadnie bronić z zaciętością smoka strzegącego zaklętych skarbów.

Oczy Jakuba zapłonęły. W milczeniu wskazał młodzieńcowi długi rapier wiszący w ciemnym kącie izby.

– Rodzinna pamiątka – rzekł z naciskiem. – Umiem jeszcze jako tako z nią się obchodzić.

– Ho, ho, pamiętam dobrze, jakie pyszne lekcje szermierki odbierałem od ciebie, gdyśmy jeszcze obaj byli dziećmi! Ach, jaka szkoda, że i ty również nie zostałeś żołnierzem!

– Bóg powołał mnie do czego innego – odrzekł ksiądz, spuszczać oczy, w których zamigotała błyskawica. – Mów dalej, Sawiniuszu. Szlachcic zdawał się przez chwilę namyślać.

– Wolałbym – podjął wreszcie z wolna – wolałbym ci oszczędzić trudów i niebezpieczeństw przywiązanych do tego zadania, ale... gdzie znajdę duszę tak dzielną i prawą jak twoja? Gdzie znajdę serce równie szlachetne i godne zaufania, które by przyjęło powierzoną sobie tajemnicę nie wglądając, jakie jej źródło i co w sobie zawiera? W podobnej okoliczności mogłem myśleć tylko o tobie.

– Jestem ci za to wdzięczny, Sawiniuszu.

– Posłuchaj zatem. Zlecenie, którym pragnę cię obarczyć, ja sam otrzymałem od kogoś innego, komu przysiągłem, że je przeprowadzę pomyślnie. Nieobce ci moje życie, oddane w zupełności burzom losowym i przygodom. Dziś, jutro lub pojutrze kula czyjaś położy mi może trupem albo pchnięcie czyjejsz szpady zapłaci mi od razu za wszystkie pchnięcia, jakie inni ode mnie dostali.

– Niech ci je Bóg przebaczy! – szepnął pobożnie proboszcz.

– Otóż – ciągnął Sawiniusz – z moją śmiercią depozyt, który przyjąłem, wpadnie w ręce obce, może obojętne, a może – co gorsza – takie, którym zależeć będzie na jego posiadaniu. Przypadku tego lękam się, a ty jedynie możesz mnie od niego zabezpieczyć, wspomagając mnie rozumem swym i siłą. Gdy już co do tego będę upewniony, niech co chce dzieje się ze mną, nic mnie już los osobisty nie obchodzi. Umrę spokojny wiedząc, że ty mnie zastąpisz.

– Czy chodzi o testament? – zagadnął proboszcz, zdziwiony wstępem tak uroczystym.

Szlachcic uśmiechnął się.

– Testament! Mój testament!... Alboż myśli się o testamentach, nosząc całe mienie przy sobie, za przykładem filozofa Biasa?...

– Cóż to więc takiego?

– Już ci powiedziałem. Spełniam zlecenie dane mi przez inną osobę.

Jakub Szablisty zwrócił na przyjaciela wzrok ciekawy i pytający.

Sawiniusz zrozumiał milczące żądanie. Z kieszeni kaftana wy dostał złożony pergamin, owinięty w zielony jedwab, z wielką pieczęcią, która musiała być świeżo odcisnięta, zalatywał bowiem od niej jeszcze ostry zapach wosku. Arkusz ten nie nosił żadnego napisu, pieczęć nie była opatrzona żadnym herbem. Widniały na niej tylko dwie litery C i B, dziwacznie ze sobą splecione, na tle posianym gwiazdami.

Z pierwszego zatem wejrzenia tajemniczy pergamin niczego nie wyjaśniał zaciekawionemu proboszczowi z Saint-Sernin.

Sawiniusz podsunął dokument pod oczy przyjaciela i dotykając palcem pieczęci, rzekł:

– Jakubie! W tej kopercie zamyka się przyszłość pewnego człowieka, los całej rodziny, rozwiązanie tajemnicy życia lub śmierci.

– Daj go – wyrzekł z mocą proboszcz.

Wyciągnął rękę i wziął cenny dokument.

– A teraz – Sawiniusz przy tych słowach powstał – posłuchaj, drogi Jakubie, czego od ciebie wymagam. Zatrzymasz ten pakiet u siebie aż do dnia, w którym albo ja sam upomnę się o niego, albo też dowiesz się na pewno, że umarłem.

– A w tym ostatnim wypadku? – zapytał Szablisty ze wzruszeniem.

– W tym ostatnim wypadku złamiesz pieczęć i znajdziesz wewnątrz skreślone moją ręką objaśnienie, co masz uczynić z innym pismem, również w tej kopercie zamkniętym, a opatrzonym oddzielną pieczęcią.

– A to objaśnienie?

– To objaśnienie odczytasz z największą uwagą, gdyż według niego będziesz mógł wypełnić, punkt po punkcie, moje zobowiązanie. Widzisz stąd, pocciwy Jakubie, że dopóki Bóg trzymać mnie tylko zechce na tym padole płaczu, twoja rola smoka nie będzie zbyt ciężką.

– To prawda.

– Ale za to – uśmiechnął się szlachcic, któremu powracał zwykły dobry humor – spadnie na ciebie kłopotów co niemiara, jeżeli jaki niegrzeczny człowiek powali mnie o ziemię z sześcioma calami żelaza w piersiach.

– Och, ja myślę, że ten człowiek jeszcze się nie narodził! – wtrącił proboszcz tonem dodającym otuchy.

– Kto wie! Na wszystko trzeba być przygotowanym.

Przy tych słowach wypróżnił kielich do dna z miną człowieka zadowolonego z siebie.

– Jeszcze słówko – wtrącił nieśmiało Jakub. – W przedsięwzięciu tak poważnym nigdy nie bywa się zanadto ostrożnym. Gdyby kiedykolwiek zjawił się kto, żądając w twoim imieniu zwrotu depozytu, jak mam postąpić?

– Choćby to był król, choćby to był papież – słyszysz, Jakubie? Król lub papież – odprawisz go z kwitkiem.

– A jeśli zechce użyć siły?

– Zabijesz go.

I wymownym spojrzeniem wskazał olbrzymi miecz zawieszony na ścianie.

Ani to słowo, ani to spojrzenie nie zdziwiły księdza. Były to czasy, w których brewiarz i szabla doskonale godziły się ze sobą.

Jakub poprzestał na ponownym uściśnięciu ręki swego mlecznego brata. Co się tyczy szlachcica, nie wątpił on już, że może być o swoją sprawę spokojny, ponieważ złożył ją w ręce człowieka, który mu nie uczyni zawodu.

Zegar kościelny wybił godzinę jedenastą. Sawiniusz odział się płaszczem i zabierał się do odejścia.

– Już mnie opuszczasz? – spytał Jakub.

– Tak.

– Dokąd się udajesz?



– Tam.

Sawiniusz wysunął rękę w kierunku okna i pokazał w oddaleniu, po drugiej stronie rzeki, czarną sylwetkę zamku Fougerolles, wykreślającą się ostro na niebie rozjaśnionym przez księżyc.

Jakub nie pytał o nic więcej. Wiedział on niewątpliwie, jakie to sprawy powołują przyjaciela do zamku.

Poprzestał na zapytaniu:

– Zobaczymy się jeszcze?

– Niezawodnie.

– Kiedy?

– Przed wyjazdem do Paryża raz jeszcze wpadnę tutaj, aby cię uścisnąć.

Już od kilku chwil na dziedzińcu plebanii wierzchowiec szlachcica niecierpliwiał się i bil w ziemię kopytami.

Sawiniusz wyszedł, wskoczył na siodło i raz jeszcze powtórzywszy przyjacielowi swe upomnienie puścił się galopem w stronę Fougerolles.

### III

Gdy ścichł tętent kopyt końskich na krzemienistym gościńcu, proboszcz wrócił do izby i otworzywszy szafę dębową, stojącą przy łóżku, schował do niej starannie tajemniczy arkusz pergaminu.

Zrobiwszy to uklęknął i modlił się długo, prosząc Boga, aby wspomagał przyjaciela w niebezpieczeństwach, które mu zagrażają, a które wydawały się dobremu księdzu tym straszniejsze, że Sawiniusz pokrywał je zupełnym milczeniem.

Tymczasem jeździec szparko posuwał się naprzód. Dochodziła północ, gdy zatrzymał konia przed fosą zamku Fougerolles.

Mimo późnej pory nikt z ludzi zamkowych, jak się zdawało, nie spoczywał jeszcze.

Po długich sieniach snuli się pachołkowie ze światłem, służba to kupiła się, rozmawiając przyciszonym głosem, to znów w smutnym milczeniu przystawała u drzwi wiodących do pańskich komnat.

Sawiniusz wjechał na dziedziniec, rzucił uzdę jednemu ze służących i szybkim krokiem pobiegł na schody wiodące na pierwsze piętro. Na ostatnich stopniach spotkał burgrabiego.

– I cóż tam, mistrzu Caprais? – zapytał.

– Ach, drogi panie! – westchnął ów dzielny człowiek. – Źle, bardzo źle u nas!

Sawiniusz nie słuchał już więcej. Przyśpieszył kroku i przeskakując po kilka stopni na raz, dostał się za chwilę do komnaty przepelnionej ludźmi.

W samym środku komnaty stało wielkie, dębowe łóżko, osłonięne w połowie ciężką, jedwabną kotarą, a na łożu tym umierał stary hrabia Rajmund de Lembrat, pan na Fougerolles i Gardannes.

Bezkrwista twarz starca odcinała się żółtawą barwą kości słoniowej od matowej bieli poduszek, ręce, skrzyżowane na piersiach, zdawały się już martwymi, posiniałe powieki przymknięte były do połowy na przygasłych źrenicach. Jedyne lekkie drzenie ust wskazywało, że dusza nie opuściła jeszcze w zupełności tego ciała, zmożonego wiekiem i chorobą.

Kapelan zamkowy klęczał w nogach łoża, odmawiając modlitwy. U wezłowania stał młodzieniec wyniosłej postawy, z miną również wyniosłą.

Młodzieniec był piękny, ale uroda jego miała w sobie coś brutalnego. Gdy wpatrywał się w twarz umierającego, oczy jego na chwilę nawet nie zwilgotniały; gdy zwracał się do służby zapelniającej na klęczkach komnatę, spojrzenie jego było zimne i przenikliwe jak stal. Silnie

zarysowane kąciki ust oraz brwi niezmiernie ruchliwe i nieustannie ściągane kazały domyślać się w nim samowładnego i nieubłaganego pana. Żaden z przebłysków dobroci, które błyszczały w twarzy starca, przez nadchodzącą śmierć nie zgaszone, nie opromieniał rysów młodzieńca. Był to syn hrabiego, dziedzic obszernych posiadłości Gardannes, Fougerolles i Lembrat.

Na widok wchodzącego Sawiniusza młodzieniec odszedł od łoża i postąpił kilka kroków ku drzwiom.

– Ojciec – rzekł głosem zniżonym – kilkakrotnie przyzywał cię, kochany Sawiniuszu.

– Zmuszony byłem opuścić Fougerolles na kilka godzin – odpowiedział ów takimże głosem. – Czy hrabia jest jeszcze w stanie słyszeć mnie?

– Spodziewam się, że tak, jakkolwiek choroba od chwili twego wyjazdu znaczne zrobiła postępy.

– Zbliź się do łoża, Rolandzie, i oznajmij ojcu moje przybycie. Roland de Lembrat pochylił się nad ojcem i wymówił imię Sawiniusza. Oczy starca rozwarły się szeroko, trwożnym spojrzeniem poszukał przybyłego, a dostrzegłszy dał mu znak, aby przystąpił do łoża.

Sawiniusz posłuchał wezwania. Hrabia ujął jego rękę i widoczne było, że wyteża siły, aby doń przemówić. W tejże chwili oczy jego spotkały utkwione weń spojrzenie Rolanda.

– Oddal się, Rolandzie – rzekł głosem lodowatym. – I ciebie, ojczy wielebny, proszę, abys pozostawił nas samych.

Słowa ostatnie zwrócone były do kapelana.

Roland przygryzł usta z widocznym gniewem, a czoło jego pokryło się czerwonosścią. Odszedł jednak razem z kapłanem w głąbię obszernej komnaty, dokąd nie mogła już dojść przyciszona rozmowa Sawiniusza z umierającym hrabią.

– Słuchaj uważnie, co ci powiem – wyrzekł szeptem Rajmund de Lembrat.

Sawiniusz pochylił się tak nisko, że ucho jego dotykało prawie ust umierającego.

Jakie było to ostatnie zwierzenie, które wyszeptaly stygnące wargi starca – nikt tego nie mógł odgadnąć. Kiedy jednak Sawiniusz wyprostował się, wszyscy mogli byli dostrzec, że oczy hrabiego napełnione są łzami. Długo, z wyteżoną uwagą, wpatrywał się on w swego syna, po czym z ust jego wybiegły dla Sawiniusza tylko dosłyszalne słowa.

– I to on ma być spadkobiercą Lembratów?

Silniejsze ściśnięcie ręki dało poznać Sawiniuszowi, że jego stary przyjaciel ma coś więcej jeszcze do powiedzenia. Hrabia próbował unieść cokolwiek ciężką jak z kamienia głowę i wskazując Rolanda ruchem niedostrzegalnym dla tamtych, szepnął w samo ucho Sawiniusza:

– Nie spuszczać uwagi z tego, przede wszystkim pamiętaj o tamtym!

## IV

Szerokie wyłomy, których dokonuje Paryż współczesny wśród swych starych dzielnic, wydobyły niedawno na jaśnię pewien odwieczny budynek, uważany przez wielu za rzecz od dawna już nie istniejącą, a bardzo głośny i oblegany przez tłumy w epoce, gdy Corneille i cała plejada pomniejszych, dziś zapomnianych poetów, uważali za największy zaszczyt widzieć dzieła swe w nim wystawione. Budynek ten to stary pałac Burgundzki, w którym aktorowie królewscy dawali przedstawienia, ściągając na nie wszystkich smakoszów artystycznych z orszaku panującej wówczas Anny Austriaczki.

W tym zbornym punkcie dworskich wykwintnisiów przedstawiano owego wieczora *Agrypinę*, tragedię budzącą wiele hałasu wśród ówczesnych krytyków, którzy dopatrywali się w niej groźnych napaści na rząd i religię.

Widownia pałacu Burgundzkiego była szczelnie zapełniona, tchnienie wojownicze przebiegało tłum świetny i gwarny. W jednym z zakątków parteru dwóch ludzi zdawało się przyjmować udział wyjątkowo żywy w tym ważnym wydarzeniu literackim. Jeden z nich wygwizdywał ze szczególną zaciętością wszystkie miejsca tragedii, które mu nie trafiały do przekonania. Drugi poprzestawał na podkreślaniu uśmiechem miejsc dobrych, wzruszał zaś ramionami na każde gwizdnięcie towarzysza.

Przy końcu trzeciego aktu pierwszy nie mógł wytrzymać, aby nie podzielić się z kimś dławiającym go oburzeniem.

– Nieprawdaż, panie – rzekł, zwracając się do milczącego widza – że to budzi śmiech i litość.

– Śmiech i litość? – powtórzył tamten zimno. – I dlaczegoż to, jeśli łaska?

– Dlatego że, podług mnie, niepodobna w nędzniejszych rymach wyrazić myśli bardziej przewrotnych.

– Poczytujesz pan zatem autora za wielkiego winowajcę?

– Za heretyka, mój panie. Zasłużył, aby go wyklęto.

– Doprawdy?

– Alboż nie wygłasza rzeczy ubliżających w najwyższym stopniu naszej świętej religii?

– Musiałeś pan źle słyszeć. Oto, co mówi ten autor...

I sąsiad człowieka z gwizdawką jął deklamować całą tyradę z *Agrypiny*. Po tej pierwszej tyradzie nastąpiła druga, po drugiej trzecia... Coraz większy zapał ogarniał deklamatora.

– Ależ, panie! – zawołał tamten, zalany niepowstrzymanym potokiem poezji – jak mogłeś zatrzymać w pamięci tak wiele wierszy?

– Czy przyznajesz pan, że wiersze te nie są złe?

– Przyznaję.

– Czemuż zatem wygwizdywałeś je przed chwilą?

– Spójrz pan na publiczność... Bardzo wiele osób pogład mój podziela!

– Biedacy! Gdy jeden osioł ryknie, inne mu zawsze wtórują...

– Panie, to wygląda na obelgę!

– Tak pan sądzisz?

– Jestem tego pewny.

– Tym gorzej dla pana. Ale sza!... Zaczyna się akt czwarty – trzeba słuchać z uwagą.

– Podzielam pańskie zdanie. Wróćmy do naszej sprzeczki za chwilę i poprowadzimy ją w inny sposób.

– Pan z prowincji? – zapytał szydlerzo deklamator, usłyszawszy pogroźkę.

– Jestem margrabia de Lozerolles.

– Stara szlachta z Poitou! Ale przepraszam. Pozwól mi, mości margrabio, słuchać Sejanusa.

Na scenę wyszli aktorzy. Starcie musiało się zatrzymać na tym punkcie. Nie wyniknął stąd zresztą żaden skandal, gdyż przeciwnicy prowadzili spór z wyszukaną grzecznością, jak przystało ludziom dobrze wychowanym.

Przy końcu sztuki przeciwnik margrabiego skinął na młodzieńca siedzącego o kilka miejsc dalej, który zbliżył się doń z pośpiechem.

– Hrabio! – rzekł do młodzieńca. – Czy chcesz być moim sekundantem?

– Dlaczego?

– Mam się bić.

– Tego wieczora?

– Za chwilę.

– Znów kłótnia! A nie zdążyłeś pan jeszcze opuścić sali!

– Nie potrzebowałem tego czynić, gdyż ten pan tu właśnie siedział! Margrabia de Lozerolles, w ten sposób wywołany, skłonił się uprzejmie.

– Jaki powód?

– Niezmiernie prosty. Ten pan nazywa *Agrypinę* szkaradną, dla mnie jest ona piękną. Czyż nie uważasz, hrabio, powód ten za wystarczający?

– Najzupełniej!

– Chodźmy, panowie – wtrącił margrabia. – Pilno mi.

Lozerolles wynalazł natychmiast dla siebie sekundanta i czterej mężczyźni wyszli z pośpiechem na wąską uliczkę w sąsiedztwie pałacu Burgundzkiego. Zaraz też, nie tracąc ani chwili, do szpad się wzięto.

– Do pioruna! – wykrzyknął margrabia, wymachując bezskutecznie szpadą dla zrobienia sobie drogi do serca przeciwnika. – Tęgi z pana szermierz!

– Doprawdy? A jednak zabawiam pana dotychczas tylko prowincjonalnymi figielkami.

– Ech, i z prowincjonalistów nie mańkuci! – odparł margrabia, płacąc za drwiny sztychem środkowym, w samo serce zmierzającym.

– Paryżanie tym bardziej! – rzekł tamten i odparowawszy cios, wykonał w tejże chwili pchnięcie tak niespodziane i tak zarazem mistrzowskie, że szpada przeszła ramię margrabiego, zanim jeszcze zdążył się zastawić.

Walka była skończona.

– Winszuję – rzekł ranny, podczas gdy zwycięzca najspokojniej chował szpadę do pochwy.

– Ale to wszystko jedno. Wiersze w *Agrypinie* nie są przez to ani na jotę lepsze i – raz jeszcze zapytać muszę pana, jakim sposobem umiesz ich tyle na pamięć?

– Bo jestem ich autorem, panie margrabio!

I pozostawiając margrabiego oszołomionego tym oświadczeniem, poeta, umiejący bronić honoru swych wierszy ostrzem szpady, oddalił się, wsparty na ramieniu sekundanta.

Ten poeta nie jest dla nas obcy. Widzieliśmy go już przy stole proboszcza w Saint-Sernin oraz u śmiertelnego łoża hrabiego de Lembrat.

Posiadał on – o czym trzeba powiedzieć zawczasu, gdyż stanowiło to znamię typowe tej pełnej charakteru fizjonomii – posiadał nos rozmiarów niezwykłych, nos ostro ścięty, rzucający cień na usta, słowem „nos bohaterski”, jak się wyraził jeden z jego biografów. Ten nos wydatny królował na twarzy o rysach prawidłowych i miłych, którą oświetlała para oczu czarnych i pełnych ognia. Brwi były zakreślone delikatnie, wąs, niezbyt gęsty, odsłaniał usta; włosy spadały czarną masą z obu stron wyniosłego, rozumnego czoła. Razem wzięwszy, był to wcale urodziwy młodzian, któremu w tej epoce szaleństw w dobrym smaku przyznano jedno z miejsc honorowych w gronie wykwintnisiów i uczonych.

Rodowe jego nazwisko brzmiało: Sawiniusz de Cyrano. Znany był wszakże lepiej pod imieniem Cyrano de Bergerac, które przybrał dla odróżnienia się od brata i krewniaków.

Był autorem *Podróży na księżyc*, *Rozmów uszczypliwych* i *Agrypiny*, twórcą całej seciny żartobliwych wierszy i poematów, śmiałym i zaufanym w sobie filozofem; był także słynnym i nieustraszonym pojedynkarzem oraz bohaterem tysiąca przygód. Nosił ze dwadzieścia zaszczytnych przydomków, między innymi: „Nieustraszony”, „Demon brawury”, „Kapitan Czart” – lud zachował zwłaszcza w pamięci to ostatnie przydomko, wielu też ludziom pod nim tylko poeta był znany.

Przy tym wszystkim: złote serce, umysł w najwyższym stopniu niezależny, pogarda dla głupców i dowcip iskrzący. Kochano go za ten dowcip, wybornie przystosowany do ducha epoki, za wyborny humor, za młodość pełną ognia i zapału. Pozostało po nim – rzecz rzadka w tym życiu – wspomnienie trwałych przyjaźni i poświęcenia bez granic.

Skłoniwszy się margrabiemu, Cyrano oddalił się, wsparty na ramieniu swego sekundanta.

Tytuł hrabiowski, którym obdarzył poeta tego ostatniego, spadł nań po śmierci starego hrabiego de Lembrat. Był to nowy dziedzic Fougerolles, był to ów Roland o minie wyniosłej, którego widzieliśmy, jak stał bez śladu wzruszenia przy łożu umierającego ojca.

Hrabia Rajmund de Lembrat już od roku spoczywał w grobie, a syn rychło go oplakał. Roland miał lat dwadzieścia pięć i był bardzo bogaty. Palila go żądza nasycenia się gorączkowym życiem stolicy, od którego starzec trzymał go rozmyślnie z daleka.

Cyrano de Bergerac, starszy i doświadczeńszy, był jego wzorem i jakkolwiek nie żywił wielkiej przyjaźni do poety – zapewne przez

wrodzoną mu sprzeczność z uczuciami ojca – prosił, aby Cyrano podjął się roli jego przewodnika i ojca chrzestnego w odmęcie tego błyszczącego świata, który go tak bardzo pociągał.

„Była to epoka owych pięknych awanturnic, Hiszpanek i Włoszek, istot dumnych a zarazem lubieżnych, które miłowały jednaką miłością złoto, krew i pachnidła; była to epoka maskarad, zalotów hiszpańskich, uroczystych zarazem i rozpasanych, miłostek namiętnych aż do poniżenia się, gwałtownych aż do okrucieństwa, sonetów i ulotnych wierszyków, wielkiej pijatyki, wielkiej zabijatyki i wielkiego kosterstwa...”

W taki wir rzucił Cyrano swego młodego przyjaciela.

W tym upajającym i odurzającym zamęcie Sawiniusz wiódł żywot poety i filozofa, Roland zanurzył się weń z głową, palony gorączką kosztowania wszystkich ponętnych owoców i maczania ust we wszystkich czarach ze słodką trucizną. Rok nie upłynął, a już potrafił sobie zdobyć imię w świecie stołecznych wytwornisiów i szalapeutów. Rozsiewał garściami złoto, wyprawiał ucztę po ucztach, olśniewał kobiety zbytkiem, porywał mężczyzn odwagą. Rzecz prosta, że się wkrótce życiem tym upił.

Po oszołomieniu nastąpił niesmak. Roland uczuł potrzebę okiełznania namiętności i wypoczęcia.

I w tym Cyrano ukazał się dlań użyteczny. W liczbie przyjaciół poety znajdował się margrabia de Faventines, mieszkający w starym pałacu na Wyspie św. Ludwika i wiodący życie nader skromne, gdyż przegrany niedawno proces silnie nadszarpnął jego fortunę. Sawiniusz znalazł sposobność zalecenia margrabiemu hrabiego Rolanda, który niebawem też został tam wprowadzony i znalazł w starym pałacu cichą przystań, tak bardzo przezeń pożądaną.

W pałacu, prócz margrabiego, znajdowała się młoda panna, jedyna jego córka. Na imię jej było Gilberta; liczyła lat dziewiętnaście. Roland zakochał się w margrabiance i jako młodzian roztropny, powiernikiem swych uczuć uczynił samego margrabiego.

W owym czasie, tak samo jak i dziś, nie żeniono się z pannami bez posagu. Zięć, nie wymagający do córki dopłaty, był dla margrabiego prawdziwą opatrnością, toteż przyjął go z otwartymi rękoma i już w dwa miesiące po zapoznaniu się tak zwane szczęście Gilberty zostało zapewnione.

Co się tyczy panny, zapytana dla formy o zdanie, odpowiedziała bez wzdrygnięcia się „tak”, serce jej bowiem było prawdopodobnie wolne, umysł zaś dość praktyczny, aby ocenić korzyści tak świetnego pod względem majątkowym związku. Oparte na tym gruncie układy prędko doprowadziły do celu i hrabia de Lembrat został uroczyście przyjęty w pałacu na Wyspie św. Ludwika w charakterze narzeczonego pięknej Gilberty de Faventines.

W zupełnym spokoju korzystała ona z przywilejów tej godnej zazdrości roli na wiosnę 1653 roku.

W ciągu dwóch miesięcy Gilberta miała czas oswoić się z myślą, że zostanie hrabiną. Oczekiwała na ten wypadek, zbytecznie go nie pożądataj. Powiedzmy więcej, chętnie byłaby cofnęła dane słowo, gdyby jej nie powstrzymywały szacunek i posłuszeństwo winne rodzicom.

## V

Pałac margrabiego de Faventines wznosił się w głębi ogrodu, którego brama wychodziła na nabrzeże Sekwany. Roztaczał się stamtąd widok prześliczny i Gilberta lubiła siadać na tarasie, górującym nad rzeką. Spędzała tam długie chwile na marzeniu, czytaniu lub rozmowie z Paketą, młodą dziewczyną spełniającą dwie role, pokojowej i powiernicy.

Pewnego ranka pani i służebna zajęły swe ulubione miejsce, chroniąc się przed słońcem w cień rozłożystego jaworu, którego długie gałęzie wybiegały za kratę i sięgały nabrzeża. Rozmawiały głosem przyciszonym, a musiała to być rozmowa wielce zajmująca i wielce poważna, gdyż główki dziewcząt tak bardzo zbliżyły się do siebie, że czarna kosa Gilberty muskała złociste kędziorki Pakety.

Policzki margrabianki były różowe jak kwiat brzoskwini w kwietniu. A różowość ta wzmagała się w miarę przeciągającej się rozmowy.

– I trwa to już dawno, proszę panienki? – zapytała Paketą, wysłuchawszy długiego opowiadania Gilberty.

– Od trzech tygodni.

– Czy podobna?

– Od trzech tygodni znajduję codziennie na swoim balkonie bukiet, a w bukiecie – wiersze.

– Ofiarowywać codziennie bukiet, nic to trudnego – ale wiersze! Albo nieznajomy wielbiiciel posiada talent większy niż nasi modni poeci – albo też... zaopatrzył się zawczasu w zapas wierszy miłosnych, zastosowanych do każdej okoliczności.

– Jesteś złośliwa, Paketo.

– Czy pozwoli mi panienka być także... ciekawą?

– W jakim celu?

– Chciałabym zadać panience jedno pytanie.

– Mów.

– A więc – z ręką na sercu – z jakim uczuciem przyjęła panienka te bukiety i te wiersze?

– Być może, Paketo, że jestem trochę płocha.

– To nie odpowiedź.

– Niech i tak będzie. Dowiedz się zatem, że śmiałość nieznajomego mocno mnie rozgniewała.

– To naturalne. Ale... potem?

– Potem przywykłam do niej.

– Tak dalece, że dziś...

– Dziś, jak sądzę, nie mogłabym już gniewać się nań za rzecz, którą przyjmowałam z poślazaniem.

– I naprawdę panienka go nie zna?

– Przysięgam ci, że naprawdę.

– Nie podejrzewa panienka nikogo?

– Nikogo.

– Nawet hrabiego de Lembrat, swego narzeczonego?

– Jego! Skąd ci to mogło przyjść do głowy! Wszakże widuje mnie codziennie i w każdej chwili może do woli ze mną rozmawiać. W jakimże celu miałyby ofiarowywać mi w tajemnicy wiersze i kwiaty?

– Może to delikatna forma pamięci i hołdu?

– Nie.

– A może – próba?

– Hrabia nie ma potrzeby mi ciągle nadskakiwać ani mnie doświadczać. Pewny jest zarówno mojej prawości, jak i słowa danego mu przez ojca.

– W takim razie, wszystko to nie doprowadzi panienki do niczego.

– Dobrześ rzekła, do niczego. W ciągu miesiąca będę zameżną. Wspomnienie tej dziwnej przygody pozostawi tylko w mym sercu jedną jeszcze żalność...

– Jeszcze jedną żalność? A widzi panienka, że panienka pana de Lembrat nie kocha. Panienka go nie kocha, a jednak wychodzi za niego.

– Cóż chciałabyś, żebym uczyniła?

– Chciałabym – rzekła Paketa, potrząsając rezolutnie kształtną główką – chciałabym, żeby panienka zbuntowała się i powiedziała – „nie!” Ja, na miejscu panienki, nie namyślałabym się ani chwili!

– Ty, moja kochana, jesteś wolna. Na tobie nie ciąży obowiązek oszczędzania dumy rodowej, ocalenia rodowego klejnotu...

– To prawda, jednakże...

– Gdybym nawet powiedziała: „nie!” – ciągnęła smętnie Gilberta – wola ojca przemogłaby moje postanowienie. Ach, tyś szczęśliwa, Paketo! Ty możesz kochać – mnie tego zabroniono!

W ogrodzie dały się słyszeć głosy. Gilberta podniosła się zmieszana. Prawie w tejże samej chwili zjawił się hrabia, na którego ramieniu wspierała się margrabina de Faventines. Na widok matki Gilberta nie mogła powstrzymać lekkiego okrzyku.

– Przestraszyłem panią? – zapytał Roland.

– Ech, nie! Wzruszyłeś mnie pan tylko swym niespodzianym zjawieniem się – odrzekła Gilberta, zmuszając się do uśmiechu.

Ucałowawszy rączkę narzeczonej, hrabia de Lembrat usiadł obok margrabiny na ławce, która otaczała pierścieniem gruby pień jaworu.

Na znak dany przez matkę Gilberta zajęła miejsce obok narzeczonego. Ale zamiast śledzić z uwagą, co się dzieje dokoła niej, wybiegła wzrokiem i myślą daleko i zatęgnęła w głębokiej zadumie. Roland badał ją przez chwilę w milczeniu z inkwizytorską przenikliwością.

– Wydajesz się pani smutną – wyrzekł wreszcie. – Na Boga, cóż tu zaszło takiego?

– Nic nie zaszło, panie hrabio – odparła Gilberta. – Wybacz mi pan łaskawie moje roztrągnięcie.

– Dziwne to wszystko! – szepnął do siebie Roland, brwi ściągając.

Zaczęta w tak oschłym tonie rozmowa rwała się co chwila. Hrabia czując, że trzeba wyjść jak najprędzej z zakłętą koła czczych i nudnych ogólników, nic nie odpowiedział na ostatnie słowa Gilberty, natomiast wydobyl z kieszeni maleńkie pudełeczko do klejnotów, ozdobione herbem rodziny de Faventines i otworzywszy podsunął je przed oczy narzeczonej.

– Pani – odważył się przemówić po kilku chwilach milczenia – wiem, że dzieła sztuki budzą w tobie zajęcie. Racz przyjąć ten klejnocik, który z myślą o tobie kazałem przygotować florenckiemu mistrzowi sztuki złotniczej.

Gilberta rzuciła na prześliczne cacko łaskawie grzeczne spojrzenie.

– W istocie, jest to bardzo bogate! – zauważyła tonem najzupełniej obojętnym.

– Gilberto! – zawołała margrabina – czyż nie możesz zdobyć się na uprzejmiejsze podziękowanie!

– Och, pani! – przerwał Roland z odcieniem gorczy w głosie – nie liczyłem bynajmniej na podziękowanie.

– Uwaga mamy była słuszna. Zapomniałam, gdzie jestem i do kogo przemawiam. Panie, bardzom panu za jego uprzejmość obowiązana!

„Zimna jak marmur – przemknęło przez głowę Rolandowi. – Byłżebym okłamywany?...”

Nastąpiła chwila przykrego dla wszystkich milczenia. Na szczęście zjawiał się margrabia. Przybywał on w porę, aby wyprowadzić z kłopotu troje osób nie wiedzących, co począć z sobą. Margrabia nie przybywał sam. Towarzyszył mu Sawiniusz de Cyrano.

Szlachcic zbliżył się do dam krokiem posuwistym i złożył ukłon tak niski, że aż pióro jego wielkiego kapelusza musnęło żwir alei. Moda ówczesna inaczej kłaniać się nie pozwalała.

– Witaj, panie de Bergerac! – zawołała żywo margrabina, rada przybywającym —jakżem szczęśliwa, że pana oglądam! Przez długie dwa tygodnie skąpiłeś nam swej obecności! Czyś chorował?

– Tak, margrabino! – odrzekł wesoło Cyrano i podchwytną sposobność popisania się grą słów, w której zawsze celował, dodał: – Trapiła mnie trojniczka i czwartaczka

– To znaczy – pośpieszył wytłumaczyć Roland – żeś się znów pojedykował!

– O, prawie mimo woli! Przyjaciele moi niesłusznie nazywają mnie „prymusem” towarzystwa stołecznego, od tygodnia już bowiem nie upłynął dzień jeden, abym nie był czymś sekundantem. Pomagałem bić się kochanemu de Brisailles, który pojedykował się, nie wiem, dalibóg, o co; potem podtrzymałem drogiego Canillaca; sam zaś wyniosłem z tych utarczek kresę przez nos, dotąd jeszcze widoczną.

– To są drobne awanturki! – wtrącił margrabia. – Mówią, że spotkało cię coś poważniejszego...

– Nie wiem, o czym chcesz mówić, margrabio?

– Alboż nie pokłóciłeś się z Poquelinem, który tak niegrzecznie ściągnął jedną scenę z twego *Pedanta*, aby ją następnie przyczepić do tej farsy, która ma tytuł *Szelmostwa Skapena*?

– A, już wiem, o co ci idzie.

– Widzę, że dość obojętnie sprawę tę traktujesz.

– Po cóż mam ją traktować inaczej! – rzekł poeta, wzruszając ramionami. – Jeżeli Molier wyskubuje piórka z moich dzieł, aby się w nie przystroić, ludzie o tym wiedzą i mówią, jestem już przeto dostatecznie pomszczony. Zresztą, jeśli kradnie moje myśli, dowodzi tym, że je ceni; nie tknąłby ich, gdyby sądził, że nic nie są warte.

– Bez wątpienia.

– Chcesz jednak wiedzieć, margrabio, co mnie obraża? Oto zuchwalstwo Moliera, który przypisuje własnej twórczości myśli podsuwane mu jedynie przez dobrą pamięć i uważa się za ojca takich dzieci, przy których urodzeniu pełnił jedynie rolę – akuszerki.

Wybuchem śmiechu przyjęto ten żarcik. Zniknął przymus krępujący dotąd towarzystwo. Dobry humor Cyrana rozpodził wszystkie twarze.

– Przyjacielu Bergeraku! – odezwał się nagle margrabia. – Wart jesteś więcej niż opinia o tobie.

– Nie mówmy o mojej opinii. Jeżeli zła, to dlatego, że wrogom moim pozostawił dość czasu do jej sfabrykowania. Mówmy raczej o twoim szczęściu, kochany Rolandzie, o uciekach życia rodzinnego, o twym ojcowskim zadowoleniu, margrabio. Niejedno zapewne mielibyście mi o tym do powiedzenia.

– Owszem, jedno tylko – wyrwał się Roland – ale które dla mnie wszystko zastąpi. Za miesiąc panna Gilberta będzie moją żoną.

– Godny zazdrości śmiertelniku, co znasz z góry dokładną datę swojego szczęścia!

W tejże chwili zauważył, że słowa hrabiego w szczególny sposób zmieszały Gilbertę.

„Aj! – szepnęła do siebie – panienska zdaje się bez wielkiego zachwyty przyjmować los, który ją czeka!”

Zrobiwszy tę uwagę, zabierał się do odejścia.

Margrabia zatrzymał go.

– Zjesz z nami obiad, panie de Bergerac?

– Nie. Ulatniam się!

– Tak prędko?



– Czekają na mnie w pałacu Burgundzkim.  
 – Przysięgnę, że to tylko wymówka.  
 – Wymówka ta ma ciało i kości. Jest nią Sulpicjusz Castillan, dzielny chłopiec, który przepisuje moje wiersze i roznosi listy.  
 – A więc Sulpicjusz Castillan poczeka na ciebie...  
 – Zostań pan, proszę! – przybyła na pomoc ojcu Gilberta. – Po obiedzie uruczysz nas kilkoma rozdziałami swojej ostatniej pracy.  
 – Tam, gdzie pani rozkazuje – odrzekł dwornie poeta – wola moja kruszy się na atomy. Pozostaję zatem. Czy zgadzacie się, panie, abyśmy przed obiadem przeszli się po Nowym Moście? Podobno Brioché pokazuje tam farsę, w której wystawia moją osobę w sposób wielce złośliwy, ku niezmiernej uciechu gapiów i włóczęgów.  
 Cyrano wyliczał w dalszym ciągu uciechy, jakie można było owego ranka znaleźć na Nowym Moście, gdy nagle nader żywo zajęło go co innego.  
 Na nabrzeżu rozległy się dźwięki muzyki.  
 Niespodziewany ten koncert wyprawiała trójka wędrownych grajków, złożona z dwóch mężczyzn i jednej kobiety. Wszyscy oni przybrani byli w odzież malowniczą, o barwach jaskrawych.  
 Sawiniusz, przegięty przez balustradę, jął przypatrywać się tej grupie z zaciekawieniem artysty.  
 Wyglądała ona w istocie niepowszednio.  
 Różnobarwny strój podnosił piękność kobiety, która i bez tego była urodziwa. Towarzysze jej trzymali się prosto i dumnie, jakby szych i blaszki na ich odzieży były prawdziwym złotem i klejnotami.  
 Zapominając w jednej chwili o Nowym Moście, o Briochém i o farsie przeciw sobie skierowanej, Cyrano zwrócił się do margrabiego mówiąc:  
 – Ależ, panie Faventines, jak możesz tak obojętnie przyglądać się tej trójce artystycznej i pozwalać, aby poniewierała swe talenta na ulicy. Czyż nie lepiej tu ją wezwać? Jestem pewny, że ci wędrowni wirtuozi nic nie stracą na bliższym poznaniu.  
 – I owszem; zgadzam się na to jak najchętniej – przytaknął margrabia. – A ty, Gilberto?  
 – Zastosuję się do twojej woli, ojcze. Przywołaj ich, panie Cyrano.  
 – Hej, wy tam! – krzyknął na cały głos poeta. – Chodźcie no tu nie zwlekając i pokażcie, co umiecie!

## VI

Paketa otworzyła furtę od bocznej ulicy; troje grajków weszło do ogrodu i stanęło przed dostojnym zgromadzeniem.

Na widok Cyrana jeden z mężczyzn poruszył się niespokojnie i szybkim ruchem ręki nagarnął na twarz długie promienie swych bujnych, czarnych włosów.

Gdyby poeta zauważył był ten ruch i przyjrzał się baczniej ulicznemu grajkowi, poznałby w nim bez trudności rzekomego żebraka, spotkanego niegdyś na drodze do Fougereolles. Lecz pomijając już, że o przygodzie swej zdażył już zapomnieć, nazbyt zajmowała go w tej chwili osobistość drugiego grajka. Ten był młodszy; miał włosy jasne, figurę smukłą i kształtną; na jego twarzy, cokolwiek tylko ogorzalej, malowała się duma połączona z melancholią.

O czym myślał Cyrano, wpatrując się weń badawczo? Zapewne przyszłoby mu z trudnością odpowiedzieć na to pytanie, gdyż niebawem wstrząsnawszy głową, jakby dla odpędzenia niepotrzebnych myśli, podszedł do tego, który zdawał się innym przewodzić, i rzekł:

– No, dalej, powtórzcie swą muzyczkę, jeśli nie potraficie niczym innym zabawić dostojnego towarzystwa.

Na to wezwanie ów podejrzany człowiek z gościńca postąpił krok naprzód i starając się jak najbardziej odmienić głos, gdyż miał w pamięci przestrożę daną mu przez Cyrana, oświadczył:

– Nie wszyscy, jasny panie, lubią muzykę. Mamy w zapasie co innego jeszcze.

– Cóż takiego na przykład?

– Ja wykonuję zadziwiające sztuki z kubkami. Moja siostra, Zilla, wróży po mistrzowsku. Towarzysz wreszcie nasz, Manuel, jest niepospolitym improwizatorem i wysoce utalentowanym lutnistą.

– Mamy więc jedynie kłopot z wyborem! – zaśmiał się Cyrano.

I zwracając oczy na tego, którego nazwano Manuelem, spytał:

– Jesteś, mój chłopcze, poetą?

– Bywam nim niekiedy, wielmożny panie.

– Jesteśmy w takim razie braćmi. Pozdrawiam cię w imię Apollina.

Młodzieniec skłonił się.

– Dzięki, panie Cyrano – rzekł uprzejmie.

– Znasz mnie zatem?

– Jak wszyscy w Paryżu.

„To dziwne – myślał w tej chwili Cyrano – rysy tego chłopca doskonale są mi znajome, nawet dźwięk jego głosu nie jest mi obcy”.

I w zamyśleniu jął na nowo wzrokiem przenikliwym badać od stóp do głowy młodego grajka.

– Co ci jest, przyjacielu? – zagadnął Roland, zauważywszy dziwny wyraz twarzy Sawiniusza. Poeta ocknął się z zadumy.

– Nic – odrzekł. – Studiowałem swego kolegę po lutni. Poeta jest zawsze zwierzęciem niezwykłym i godnym uwagi.

Nastała chwila wyczekiwania, podczas której, wśród tej grupy z najsprzecznieszych żywiołów złożonej, krzyżowały się spojrzenia, będące przeróżnych uczuć wyrazem.

Cyrano nie przestawał badać Manuela; Manuel znów wpatrywał się rozplomienionym wzrokiem w Gilbertę, którą przyprawiało to o niepojęte wzruszenie.

Oczy Zilli, zwrócone na Manuela, ciskały błyskawice; Roland przenosił wzrok z jednej osoby na drugą, starając się odgadnąć znaczenie tajemniczej sceny.

Co się tyczy człowieka z czarnymi włosami, nie przyglądał się on nikomu, myśląc jedynie o tym, aby się jemu nie przyglądano. Obecność Cyrana dokuczwała mu niezmiernie.

Poeta zwrócił się nagle do Gilberty z propozycją:

– Może Zilla postawi pięknej zasepionej horoskop? Czy zgoda?

– Zgoda.

I Gilberta podeszła do artystycznej trójki. Zaraz też wróżka chwyciła jej rękę.

– Czytaj z niej śmiało – rzekła margrabianka. – Nie obawiam się swego przeznaczenia. I cóż tam widzisz?

– Miłość w cieniu; niespodzianka i zawód; zacięta walka; po skończonej walce może szczęście, a może – śmierć.

Gilberta cofnęła rękę.

– Dziękuję – rzekła krótko.

– Jest to ciemne jak starożytna wyrocznia – zażartował Cyrano. – Teraz do mnie, piękna Sybillo.

– Życie krótkie, życie płodne, prześladowania i walki.

– To właśnie, co lubię. Dobrze mówisz, panienko! A koniec jaki?

– Trudno mi odpowiedzieć na to wyraźnie.

- Dobrze pchnięcie szpady zapewne? Na taką śmierć sumiennie zasłużyłem.
- Nie, śmierć pańska będzie inna – oświadczyła stanowczo wróżka, przyjrzawszy się ponownie liniom krzyżującym się na dłoni szlachcica.
- Zgadza się i na to. Na ciebie kolej, Rolandzie.
- To byłoby zbyt dobre. Ja żadnej wiary do wróżb nie przykładam.
- Ja również. Ale trzeba dać coś zarobić tym biedakom.
- Prawda.

I Roland poddał się z kolei badaniom rzekomej czarodziejki.

– Nie bez powodu wzdragałeś się, panie hrabio – oświadczyła ona głosem poważnym i głębokim. – Dłoń pańska jest najdziwniej zapisana.

- Doprawdy?
- Wszystko w tych liniach jest mrokiem i tajemnicą. Pozwól mi zebrać myśli, jaśnie panie.
- Są więc tam rzeczy straszne?
- Być może!

Zilla z pochyloną głową, z okiem w jeden punkt utkwionym, pogrążona w milczącej zadumie, zdawała się o świecie całym zapominać.

Podczas gdy wszyscy zajęci byli tą sceną, młodzieniec jakiś, skromnie odziany, o śmiałych ruchach i złośliwym wyrazie twarzy, wmieszał się nieznacznie do towarzystwa. Był to Sulpicjusz Castillan, sekretarz Cyrana. Nie znalazłszy swego pana w pałacu Burgundzkim, przybywał szukać go w pałacu Faventines.

Szlachcic dał mu znak, który mówił:

„Nie odzywaj się ani słówkiem i czekaj. Jesteś mi potrzebny.”

Rolanda de Lembrat zaczynały już niecierpliwie długie ceregiele wróżki.

– Powiedz nareszcie, co jest do powiedzenia – rzekł cierpko. – Widzisz, że wszyscy na to czekają.

Lecz Zilla potrząsnęła głową i odsuwając rękę hrabiego, szepnęła:

- Nie, ja tego powiedzieć nie mogę.
- Tajemnica? Tak najwygodniej.

Odgadywaczka przyszłości zatopiła ostre jak sztylet spojrzenie w szydzących oczach sceptyka; potem odparła dobitnie:

– Tak najroztropniej... dla spokojności pańskiego umysłu.

Hrabia wzruszył lekceważąco ramionami.

– Dość tych kuglarstw! Zaśpiewaj nam teraz jaką piosenkę miłosną. To wolę.

Do rozmowy wmieszał się starszy z mężczyzn.

– To już należy do Manuela.

A towarzyszowi rzucił rozkaz:

– Zbierz siły, kolego i wygłoś przed pięknymi damami jedną ze swych improwizacji.

Ale rozkaz, zamiast ożywić i zachęcić młodzieńca, przeraził go widocznie. Podniósł on na Gilbertę prawie błędne spojrzenie i zaraz potem zwiesił głowę na piersi, jakby uginając się pod ciężarem przechodzącym jego siły. Nagle jednak błyskawica energii zapłonęła w jego oczach,

podniósł głowę zwycięsko, jakby natchnienie sił mu dodało i odrzucając w tył płowe włosy, zbliżył się do panny de Faventines.

Gilberta wsparła głowę na ramieniu Pakety.

- Spojrzenie tego człowieka miesza mnie i niepokoi... – szepnęła do ucha powiernicy.
- Jest dumne i pewne siebie – zauważyła ta ostatnia półgłosem.

Cyrano w obecności improwizatora przybrał minę zamyśloną. Zresztą młodzieniec ów zwrócił na siebie powszechną uwagę.

Manuel wykonał na lutni krótką przygrywkę, następnie głosem śpiewnym, lekko drżącym i wzruszonym z początku, lecz w miarę, gdy unosiło go natchnienie, rosnącym w siłę i dźwięczność, wypowiedział następujące wiersze:

Czyż dlatego, żem dziecię Cygana,  
Które ludzie niewinnie przekleli,  
Że mnie przepaść, niczym niezrównana  
Od kobiety ukochanej dzieli,  
Że jej uśmiech nigdy nie rozjaśni  
Mej miłości, co wyrosła w cieniu —  
Mam żyć w wiecznej z przeznaczeniem waśni?  
Mam się męczyć i konać w milczeniu?

– O Boże! – szepnęła Gilberta, drżąca ze wzruszenia.

Przez me życie przejdzie ona dumnie  
I jej oczy nie zejną się z memi,  
I jej myśli nie zniżą się ku mnie,  
Jak nie zniża się niebo ku ziemi.  
Lecz tak mało potrzeba wyklętych!  
Gdyby kwiat ten, przez mych ust porwy  
Całowany, ku swym wargom świętym  
Przymknąć chciała... umarłbym szczęśliwy!

Trafem, czy też rozmyślnie, improwizator stanął przy wielkim wazonie kamiennym, który otaczał wiotkimi gałązkami krzew białej róży. Kończąc swą deklamację melodyjnym westchnieniem, wyciągnął rękę, zerwał różę, przesunął ją nieznacznie przy ustach i zginając kolano przed Gilberta oddał jej kwiat, przymykając oczy, jakby omdlewał ze wzruszenia.

Z płomieniem w oczach, z ustami wykrzywionymi spazmatycznie, rzucił się nań Roland.

– Zuchwalcze! – wykrzyknął.

I wyrwawszy różę z ręki grajka, cisnął ją na ziemię i nogami podeptał.

Manuel porwał się na nogi i wyprężył, jakby zabierając się do walki. Ale pod spojrzeniem hrabiego, wyniosłym i pełnym wzdargi, czoło jego, zapłonione od gniewu, pokryło się nagle chmurą, zachwiał się i zatoczył. Zrozumiał i ujawnił swą bezsilność.

Wszystko to było szybkie jak myśl.

– Co czynisz, Rolandzie! – wmieszał się Cyrano. – Jaka mucha cię ugryzła? Ten człowiek jest w porządku: wygłasza wiersze, potem ofiarowuje kwiat – jest to zupełnie naturalne i niewinne.

– Jak to? Nie zauważyłeś jego spojrzenia? Nie pojąłeś bezczelnej myśli ukrytej w jego słowach?

– Dzieciaku! – Sawiniusz ujął hrabiego za rękę. – Był żebyś zazdrosny o Cygana?

– Puść mnie!

I Roland, pokazując Manuelowi otwartą furtę, zawołał:

– Wynoś się, błażnie, jeśli nie chcesz, abym ci kij połamał na grzbiecie!

– Za pozwoleniem – odparł Manuel tonem spokojnym, nie cofając się na krok jeden – gdybyś pan chwycił za kij, ja ująłbym za szpadę.

Roland wybuchnął śmiechem szyderczym, zjadliwym...

– Żebraku! – krzyknął – precz stąd!

– Panie hrabio! – zawołała Gilberta, rzucając się pomiędzy zapaśników.

Roland ujął ją za rękę.

– Nie obawiaj się, pani. Jeśli bywam zazdrosny o najmniejszą rzecz, która osoby twej dotyka, umiem też płacić za dostarczone ci rozrywki! Masz, łotrze! Cisnął Manuelowi kieskę pełną złota.

– Dziękuję – rzekł młodzieniec, odtrącając ją nogą – jestem już zapłacony.

Brat Zilli, mniej skrupulatny, podjął z pośpiechem zdobycz, skłonił się do samej ziemi ofiarodawcy i rzekł:

– Ja nie pracuję, jasny panie, z amatorstwa. Biorę z wdzięcznością wszystko, co dają.

Manuel oddalił się wolnym krokiem, nie jak natręt, którego odpędzono, lecz jak szermierz, odchodzący z dumą z pola walki. Towarzysz i towarzyszka pośpieszyli z nim.

Podczas gdy Roland śledził chmurnym spojrzeniem odchodzących, do ucha Pakety dobiegła smutna skarga margrabianki:

– Ach, moja droga, to był Cygan! Wszystko mi już teraz wzbrania kochać. Sen mój przesnił się.

W tejże chwili Cyrano wydawał Sulpicjuszowi polecenie:

– Idź za tymi ludźmi, których wypędzono. Muszę wiedzieć, gdzie w danej chwili znaleźć ich będzie można.

## VII

Po wyjściu z pałacu Faventines trójka wędrownych grajków udała się na Nowy Most, który był wówczas główną kwaterą przewoźników, fagasów, elegantów i łobuzów. Zilla szła na przedzie, z głową zwieszoną i ciężką od myśli. Manuel, przeciwnie, spoglądał w niebo, pierś jego głęboko oddychała, rozszerzona uczuciem triumfującej dumy. Kochał! I choć był nędznym robakiem, potracanym stopami ludzkimi, doświadczył niewysłowionej, anielskiej prawie rozkoszy, zdolawszy w chwili szczęśliwego natchnienia wznieść się aż do przedmiotu swej miłości. Przez jedną chwilę ona czuła płomień jego oczu w swych źrenicach; przez jedną chwilę należała do niego. Zobelżono go, sponiewierano, wypędzono – co go to obchodzi! Ten Cygan, to dziecię nieszczęścia, ale i nieokiełznanej niczym wolności, do niczego w życiu nie przywiązane, do niczego w życiu nie dążące, pobudził do żywszego bicia serce patrycjuszki, mocą jeśli nie miłości, to przynajmniej współczucia.

Wystarczało mu to – jak oświadczył w swej gorączkowej improwizacji. Był szczęśliwy; o niczym więcej nie myślał, do niczego więcej nie zmierzał, jego dusza artysty i marzyciela zakładała swe całe przyszłe szczęście na wspomnieniu. Wiedział, że w pamięci Gilberty zajął miejsce, z którego nikt go już nie usunie.

Myśl o tym była jego skarbem, nagrodą jego śmiałości, pociechą jego nędzy. I jak obłąkane, goniący za widziadłem własnej wyobraźni, szedł krokiem chwiejnym, potracając przechodniów, potykając się o kamienie, olśniony, pijany, prawie nieprzytomny.

Towarzysz przywołał go do rzeczywistości.

– Hola, Manuelu! – zawołał drwiąco – co się z tobą dzieje? Głuchyś jak pień, a język kołkiem stanął ci w gębie!

– Z czego tak wnosisz, Ben Joelu?

– Z czego? Ależ z tego, zacny wierszokleto, zem już trzy razy mówił ciębie, a ty ani mru-mru.

– Wybacz i bądź łaskaw powtórzyć raz jeszcze swe zapytanie.

– Pytałem cię po przyjacielsku, czy...

– Czy co?

– Ech, nic! Prawdę mówiąc, nie powinienem tam wtykać mojego nosa!

– Ależ mów, proszę cię.

– Otóż chciałem, abyś mi wytłumaczył: co znaczyła ta heca w ogrodzie?

– Jaka heca?

– Ta siarczysta improwizacja zwrócona do owej pannicy.

– Myślę, żeś odgadł jej znaczenie?

– Więc ty się naprawdę w tej sikorce zakochałeś?! – wykrzyknął Ben Joel, niezmiernie zdziwiony.

– Tak – odrzekł Manuel głosem głębokiego przeświadczenia.

– Diabli nadali! A do czegoż cię to doprowadzi?

– Do niczego.

– No, a co będzie z Zillą?

– Z Zillą?

– Czyż nie widziałeś, że dziewczyna była jak na mękach? Manuel zwrócił pytające spojrzenie na towarzysza.

– Na mękach, powiadasz?

– Tak, bo to głupie stworzenie przywykło już widzieć w tobie swego przyszłego męża, czego życzył sobie nawet mój papa, gdy umierając przeznaczył jedno dla drugiego. A przy tym wiesz, jaka to zazdrośnica.

Czoło Manuela sfałdowało się. Przyspieszył kroku, aby uniknąć dalszych wypytywań towarzysza, rzucając mu na odchodnym:

– Mylisz się. Zillą nie kocha mnie. Nigdy ona nie myślała o tym, co mówisz.

Ben Joel nie zdążył odpowiedzieć, gdyż młodzieniec podbiegł do Zillii uchronił się tym sposobem od jego ciekawości.

Sulpicjusz Castillan, spełniając zlecenie Cyrana, postępował wciąż za trójką. Idąc mówił do siebie:

– Co u diabła za interesy może mieć mój pan z tymi obwiesiami!

Wbrew przewidywaniom Sulpicjusza, który wyobrażał sobie, że grajkowie mają stały przytułek na Nowym Moście, minęli go oni i weszli do jednego z biednie wyglądających domostw za bramą Nesle, w dzielnicy, która z czasem stać się miała arystokratycznym przedmieściem Świętego Germana. Kieska Rolanda, tak skwapliwie pochwycona przez Ben Joela, była dość ciężka, aby grajkowie mogli zrobić sobie tego dnia zupełny odpoczynek, nie potrzebując stawiać dobrym paryżanom horoskopów ani też pokazywać im sztuk z kubkami.

Sulpicjusz długo wystawał przed bramą starego domostwa – dość długo, aby upewnić się, że grajkowie z niego nie wychodzą i że tu właśnie znajduje się ich gniazdo czy też legowisko. Następnie, ponieważ w tej samej właśnie dzielnicy mieszkał z Cyranem, nie wracając poszedł prosto do domu swego pana. Niecierpliwość Sawiniusza musiała być niezmierna, kiedy z samego rana dnia następnego, kazawszy sobie najdokładniej powtórzyć sprawozdanie Castillana, przypasał szpadę, schował do kieszeni małe pudełeczko, które wyjął ze szkatułki stojącej w jego pokoju na kominku, i udał się prosto do domu zamieszkanego przez Manuela.

Dom ten Sulpicjusz opisał mu szczegółowo, od razu też poznał, że jest to budynek, który studenci, stali mieszkańcy tej dzielnicy, przewalali „Domem Cyklopa”. Była to budowla wysoka a wąska, z grubych belek i potężnych kłoców zbita, obrzucona po wierzchu tynkiem, który z niej kawałkami odpadał. W samym jej rogu znajdowała się furta, żelazem okuta. Od czoła nie było wcale okien; u samej tylko góry w poczerńiałym murze widać było szeroki otwór, pomiędzy dwoma pochyłościami łupkowego dachu pokrytego mchem, skąd zwieszały się na kształt włosów chwasty o długich liściach. W tym jednym otworze, zasłoniętym szybami w ołowianej oprawie, pojawiała się niekiedy nocą czerwonawe światelko. Wyglądał on wówczas jak potworne oko w czole olbrzyma. I to właśnie było powodem, że studenci, polu-